

OLŚNIEWAJĄCA. IDEALNY THRILLER PSYCHOLOGICZNY – LEE CHILD

J P DELANEY

LOKATORKA

WSZYSTKO, CO TWOJE,
KIEDYŚ NALEŻAŁO DO NIEJ





JP DELANEY

LOKATORKA

TŁUMACZENIE MARIUSZ GADEK



OTWARTE

KRAKÓW 2017

Tytuł oryginału: *The Girl Before*

Copyright © 2017 by JP Delaney. This translation published
by arrangement with Ballantine Books, an imprint of
Random House, a division of Penguin Random House LLC

Copyright © for the translation by Mariusz Gądek

Opieka redakcyjna: Olga Orzel-Wargskog

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Anna Brynkus-Weber / d2d.pl

Korekta: Anna Woś / d2d.pl,
Ewa Polańska / d2d.pl

Łamanie: Robert Oleś / d2d.pl

Projekt okładki: © Andrew Smith / www.asmithcompany.co.uk

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Eliza Luty

Fotografie na okładce: wewnątrz domu – © James Brittain /
Corbis Documentary / Getty Images, schody – © Nick Rochowski /
Corbis Documentary / Getty Images

ISBN 978-83-7515-078-0



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

„Pan Darkwood, który kiedyś był zafascynowany miłością romantyczną i tym, co wszyscy mieli o niej do powiedzenia, teraz miał absolutnie dość tego tematu. Dlaczego zakochani bez przerwy powtarzają to samo? Czy nie zmęczyli się już słuchaniem siebie nawzajem?”

Eve Ottenberg, *The Widow's Opera*

„Seryjni mordercy, jak wszyscy uzależnieni, działają zgodnie ze scenariuszem, obsesyjnie powtarzając te same zachowania”.

Robert D. Keppel, William J. Birnes,
Signature Killers

„Analizowany [pacjent] wcale nie przypomina sobie tego, co zapomniane i wyparte, lecz urzeczywistnia to w formie działania. Nie odtwarza tego w formie wspomnienia, lecz jako czyn, powtarza to, rzecz jasna nie zdając sobie sprawy z tego, że powtarza”.

Sigmund Freud, *Przypominanie, powtarzanie, przepracowywanie*, tłum. Robert Reszke

„Moja fascynacja powtarzalnością obrazów – a w przypadku filmów ich »ciągnięciem się« – wypływa z przekonania, że większość życia spędzamy, patrząc, ale niewiele dostrzegając”.

Andy Warhol

1. *Zrób listę wszystkich rzeczy, które uważasz za niezbędne w swoim życiu.*

PRZEDTEM: **EMMA**

– To urocze, małe mieszkanie – mówi agent tonem, który można by uznać niemal za autentyczny entuzjazm. – Położone blisko obiektów użyteczności publicznej. No i ma jeszcze własny kawałek dachu, który można przerobić na taras. Oczywiście pod warunkiem że właściciel się zgodzi.

– Ładne – przytakuje mu Simon, starając się unikać swojego wzroku.

Wiedziała, że to mieszkanie nie nadaje się dla nas, jak tylko tu weszłam i zobaczyłam dwumetrowy kawałek dachu pod jednym z okien. Si też to wie, ale nie chce tego mówić agentowi, przynajmniej na razie, żeby nie być nieuprzejmy. Może nawet liczy, że jeśli jeszcze trochę posłucham tej durnej paplaniny, to sama zacznę się wahać. Agent to facet w stylu Simona: bystry, arogancki, energiczny. Pewnie czytuje pismo, w którego redakcji Simon pracuje. Jeszcze nie zdążyliśmy wejść na schody, a już zaczęli gadać o sporcie.

– A tu macie całkiem sporych rozmiarów sypialnię – oświadcza agent – wraz z przestronną...

– To nie ma sensu – przerywam mu, kończąc tę farsę. – Nie jest dla nas odpowiednie.

Agent unosi brwi.

– Moim zdaniem nie powinniście za bardzo wybrzydząć – mówi. – Do wieczora to mieszkanie zniknie z rynku. Dziś pokazuję je już piąty raz, a nawet nie wrzuciliśmy go jeszcze na stronę internetową.

– Nie jest dość bezpieczne – odpowiadam stanowczym tonem. – Idziemy?

– Na wszystkich oknach są rygle, do tego drzwi są wyposażone w zamek Chubb. Oczywiście możecie zainstalować alarm przeciwwłamaniowy, jeśli kwestia bezpieczeństwa budzi waszą szczególną obawę. Nie sądzę, żeby właściciel miał coś przeciwko.

Zwraca się teraz bezpośrednio do Simona, zupełnie mnie ignorując. „Jeśli kwestia bezpieczeństwa budzi waszą szczególną obawę”. Równie dobrze mógłby zapytać: „Czy twoja dziewczyna czasem nie histeryzuje?”

– Poczekam na zewnątrz – oznajmiam i odwracam się do wyjścia.

Zrozumiawszy pewnie, że popełnił gafę, agent szybko dodaje:

– Jeśli problem stanowi lokalizacja, może powinniście poszukać nieco bardziej na zachód.

– Już szukaliśmy – odpowiada Simon. – Żadne z tamtejszych mieszkań nie jest na naszą kieszeń. Z wyjątkiem tych wielkości schowka na miotły.

Simon usiłuje ukryć frustrację w głosie, ale sam fakt, że musi to robić, złości mnie jeszcze bardziej.

– W Queen’s Park mamy jednopokojowe mieszkanie – mówi agent. – Trochę obskurne, ale...

– Już je widzieliśmy – wtrąca Simon. – Ostatecznie doszliśmy do wniosku, że jest nieco zbyt blisko naszego dotychczasowego mieszkania. – Jego ton nie pozostawia wątpliwości, że tak naprawdę to ja doszłam do takiego wniosku.

– Dopiero co pojawiło się mieszkanie na trzecim piętrze w Kilburn...

– Też je oglądaliśmy. Tuż przy jednym z okien biegła rytna.

Agent przygląda mu się nierozumiejącym wzrokiem.

– Ktoś mógłby się po niej wspiąć – wyjaśnia Simon.

– No tak. Cóż, sezon na wynajem dopiero się zaczyna. Może jeśli trochę poczekacie...

Agent najwyraźniej doszedł do wniosku, że tylko marnujemy jego czas, i także zaczyna się przesuwac w kierunku drzwi. Wychodzę na zewnątrz i staję na podeście, starając się zachować bezpieczny dystans.

– Wypowiedzieliśmy już wynajem naszego obecnego mieszkania – słyszę Simona. – Kończą nam się opcje. – Teraz ścisza głos. – Słuchaj, stary, mieliśmy włamanie. Pięć tygodni temu. Dwóch facetów wtargnęło do mieszkania i groziło Emmie nożem. Teraz rozumiesz, dlaczego jest taka nerwowa?

– O cholera – kwituje agent. – Nie mam pojęcia, co bym zrobił, gdyby coś takiego przydarzyło się mojej dziewczynie. Posłuchaj, nie wiem, czy to coś dla was, ale... – Nagle urywa.

– Tak? – zachęca go Simon.

– Czy ktoś w naszym biurze wspominał wam o Folgate Street 1?

– Chyba nie. To jakaś nowa oferta?

– Nie, nie do końca.

Agent nie jest pewny, czy ciągnąć ten wątek.

– Ale mieszkanie jest wolne, tak? – dopytuje Simon.

– W zasadzie tak – odpowiada agent. – To fantastyczne miejsce. Absolutnie fantastyczne. Ze znacznie wyższej półki niż to tutaj. Tyle że właściciel... delikatnie mówiąc, jest trochę wymagający.

- Gdzie jest to mieszkanie? – pyta Simon.

- W Hampstead – mówi agent. – A raczej bardziej w Hendon. Ale to naprawdę spokojna okolica.

- Em! – woła Simon.

Wracam do środka.

- W sumie możemy je obejrzyć. I tak jesteśmy niedaleko.

Agent kiwa potakująco głową.

- Po drodze wpadnę tylko do biura – mówi – i spróbuję znaleźć dokładne informacje na jego temat. Prawdę mówiąc, już dawno nikogo po tym mieszkaniu nie oprowadzałem. To nie jest miejsce dla każdego. Ale wiele osób dałoby się za nie pokroić. Przepraszam, to nie było zamierzone.

TERAZ: JANE

– To już ostatnie. – Camilla, agentka nieruchomości, bębni palcami o kierownicę swojego smarta. – Najwyższa pora, żebyśmy w końcu na coś się zdecydowały.

Wzdycham. Mieszkanie, które przed chwilą obejrzałyśmy – w podupadłej kamienicy niedaleko West End Lane – to w zasadzie jedyne, na jakie mnie stać. I gdy już niemal wmówiłam sobie, że jest całkiem w porządku (ignorując łuszczącą się tapetę, lekki zapaszek gotowania sączący się z mieszkania poniżej, a także ciasną sypialnię oraz pleśń panoszącą się w pozbawionej wentylacji łazience), usłyszałam gdzieś w pobliżu dźwięk dzwonka, staroświeckiego ręcznego dzwonka, i z ulicy nagle dobiegły mnie wrzaski dzieci. Podeszłam do okna i naprzeciwko zobaczyłam szkołę. Mogłam nawet zajrzeć do środka klasy, w której znajdowała się grupa najmłodszych dzieci, a na oknach wisiały wycięte z papieru króliczki i gąski. Nagle poczułam w brzuchu ostre szarpnięcie bólu.

– To mieszkanie chyba jednak odpuszczę – zdołałam wydusić z siebie.

– Naprawdę? – Camilla się zdziwiła. – Chodzi o szkołę? Poprzedni lokatorzy mówili, że raczej lubili gwar bawiących się dzieci.

– Ale chyba nie aż tak bardzo, żeby zostać tu na dłużej. – Odwróciłam się do wyjścia. – Idziemy?

Teraz, w drodze powrotnej do biura, Camilla próbuje wyrzucić na mnie presję za pomocą przedłużającego się milczenia. W końcu postanawia je przerwać.

– Jeśli nic z tego, co dziś oglądaliśmy, nie przypadło ci do gustu, może trzeba pomyśleć o czymś z wyższej półki cenowej.

– Niestety mój budżet nie jest z gumy – odpowiadam oschle, patrząc przez okno.

– W takim razie może powinnaś nieco obniżyć swoje wymagania – rzuca cierpko.

– Jeśli chodzi o to ostatnie mieszkanie... Mam pewne... osobiste powody, dla których nie mogę mieszkać obok szkoły. Przynajmniej na razie.

Widzę, że wzrok Camilli wędruje na mój brzuch, wciąż nieco obwisły po ciąży, a jej oczy rozszerzają się pod wpływem nagłego olśnienia.

– Och – mówi.

Nie jest taka tępa, na jaką wygląda, za co jestem jej bardzo wdzięczna. Na szczęście nie muszę nic więcej wyjaśniać.

Tymczasem w jej głowie chyba rodzi się jakiś pomysł.

– Słuchaj, jest jeszcze jedno miejsce. Tak naprawdę nie powinniśmy go pokazywać bez wyraźnej zgody właściciela, ale od czasu do czasu to robimy. Niektórych to mieszkanie trochę przeraża, ale ja uważam, że jest cudowne.

– Cudowne mieszkanie na moją kieszeń? Chyba nie mówimy o łodzi mieszkalnej, prawda?

– Broń Boże. Wprost przeciwnie. To nowoczesny budynek w Hendon. Cały dom z jedną tylko sypialnią, za to z mnóstwem przestrzeni. Właściciel jest architektem. I to naprawdę sławnym. Kupowałaś kiedyś ubrania w Wanderer?

– Wanderer... – W swoim poprzednim życiu, kiedy miałam pieniądze i porządną, dobrze płatną pracę, czasami wybierałam się do Wanderer, obrzydliwie minimalistycznego sklepu przy Bond Street, w którym kilka potwornie drogich sukienek leżało na masywnych kamiennych stołach niczym dziewice na ołtarzach ofiarnych, a wszystkie sprzedawczynie chodziły ubrane w czarne kimona. – Raz na jakiś czas. Czemu pytasz?

– Firma Monkford Partnership zaprojektowała wszystkie ich sklepy. Jej szef jest nazywany technominimalistą czy jakoś tak. Mnóstwo ukrytych gadżetów, a poza tym same gołe ściany. – Camilla posyła mi dziwne spojrzenie. – Powinam cię ostrzec: niektórzy uważają jego styl za nieco zbyt... surowy.

– Jakoś to zniósę.

– No i...

– Tak? – dopytuję, gdy Camilla zawiesza głos.

– Właściciel wymaga umowy, która nie jest zwykłą umową najmu – odpowiada z wahaniem.

– To znaczy?

– Myślę, że najpierw – mówi, trącając kierunkowskaz w dół i skręcając na lewy pas – powinniśmy obejrzeć mieszkanie i sprawdzić, czy ci się spodoba. A potem przedstawię ci wszystkie jego wady.

PRZEDTEM: **EMMA**

No dobra, dom jest fantastyczny. Niezwykły, zapierający dech, cudowny. Nie sposób opisać go słowami.

Choć wygląd samej ulicy niczego takiego nie zapowiadał. Po obu stronach ciągnęły się dwa rzędy dużych, nijakich domów w stylu wiktoriańskim, z czerwonej cegły i otwieranymi do góry oknami, jakie można zobaczyć w całym północnym Londynie, gdy idzie się w kierunku Cricklewood. Wyglądały jak łańcuszek identycznych figurzek wyciętych z kartonu, różniły się jedynie wyglądem frontowych drzwi oraz znajdującymi się powyżej małymi, kolorowymi okienkami.

U wylotu ulicy biegło ogrodzenie, za którym stał niski, niewielki budynek przypominający kostkę z jasnego kamienia. Jedyne kilka rozmieszczonych jakby zupełnie przypadkowo poziomych, wąskich okien wskazywało, że był to jednak dom, a nie gigantyczny przycisk do papieru.

– Wow – mówi z wahaniem Simon. – To na pewno tutaj?

– Jak najbardziej – oznajmia radośnie agent. – Folgate Street 1.

Prowadzi nas do drzwi, które znajdują się niemal w jednej płaszczyźnie ze ścianą. Nigdzie nie ma jednak dzwonka. Prawdę mówiąc, nie widzę też klamki ani skrzyynki na listy,

ani żadnej tabliczki z nazwiskiem – niczego, co świadczyłoby o obecności jakiegokolwiek człowieka. Agent popycha drzwi, a one otwierają się na oścież.

– Kto tu teraz mieszka? – pytam.

– Obecnie nikt. – Agent odsuwa się na bok, by przepuścić nas przodem.

– Czemu więc dom nie był zamknięty? – dopytuję nerwowo, nie ruszając się z miejsca.

– Ależ był. – Uśmiecha się z wyższością. – W swoim smartfonie mam cyfrowy klucz. Jedna aplikacja, która wszystko kontroluje. Wystarczyło tylko, żebym zmienił ustawienia z „niezamieszkanym” na „zamieszkanym”. Potem wszystko przebiegło automatycznie: zamontowane w domu czujniki odczytały szyfr i wpuściły mnie do środka. Gdybym nosił cyfrową bransoletkę, nie potrzebowałbym nawet telefonu.

– Chyba żartujesz – mówi Simon, wpatrując się w drzwi jak urzeczony.

Niemal wybucham śmiechem, widząc jego zachwyconą minę. Dla rozkochanego we wszelkich gadżetach Simona koncepcja domu, który można kontrolować za pomocą własnego telefonu, brzmi jak opis najwspanialszego prezentu urodzinowego.

Wchodzę do maleńkiego korytarza, niewiele większego od szafki kuchennej. Gdy agent wciska się za mną do środka, robi się tak ciasno, że nie sposób się obrócić, więc bez pytania o pozwolenie ruszam dalej.

Tym razem to ja mówię „wow”. Ten dom naprawdę robi wrażenie. Przez ogromne okna, które wychodzą na niemały ogród i wysoki, kamienny mur, do wnętrza wlewa się mnóstwo światła. Dom nie jest duży, lecz dość przestronny. Ściany i podłogi są zrobione z tego samego jasnego kamienia co elewacja. Przez wgłębienia w ścianach

biegnące tuż przy podłodze ma się poczucie, jakby całe wnętrze unosiło się lekko w powietrzu. W dodatku dom jest pusty. Nie chodzi o brak mebli – widzę kamienny stół w pokoju obok, bardzo eleganckie designerskie krzesła do jadalni i długą, niską kanapę w kremowym kolorze – ale nie ma nic więcej, nic, na czym można by zawiesić wzrok. Żadnych drzwi ani szafek, żadnych obrazów ani framug okiennych, żadnych gniazdek elektrycznych, żadnych elementów oświetlenia ani nawet – rozglądam się wokół zdumiona – żadnych włączników światła. I choć nie wydaje się, by dom był opuszczony lub niezamieszany, panuje tu absolutny porządek.

– Wow – powtarzam dziwnie stłumionym głosem.

Nagle uświadamiam sobie, że nie słyszę żadnych odgłosów dobiegających z ulicy. Rozbrzmiewający w tle zgiełk silników samochodowych, nawoływań robotników na rusztowaniach oraz klaksonów, jaki nieustannie słychać w Londynie, zupełnie ucichł.

– Większość ludzi tak reaguje – kwituje agent. – Przepraszam za kłopot, ale właściciel upiera się, by wszyscy zdejmowali obuwie. Jeśli więc nie macie nic przeciwko temu...

Pochyla się, by rozsznurować swoje szpanerskie buty. Idziemy za jego przykładem. I nagle, jakby to surowe, puście wnętrze wyssało z niego całą tę czczą gadaninę, agent zaczyna spacerować cicho w samych skarpetkach, przyglądając się wszystkiemu z nie mniejszym od naszego osłupieniem.

TERAZ: JANE

– Piękny – mówię.

W środku dom jest tak elegancki i wymuskany jak galeria sztuki.

– Po prostu piękny.

– To prawda – przytakuje Camilla. Wyciąga szyję, by przyrzeć się nagim, wznoszącym się pod sam dach ścianom z jakiegoś drogiego kamienia o kremowej barwie.

Na piętro prowadzą najbardziej minimalistyczne schody, jakie widziałam w życiu. Wyglądają, jakby wyciosano je w ścianie klifu: niewypolerowane kamienne stopnie niemal unoszą się w powietrzu, nieograniczone żadną poręczą i pozbawione jakichkolwiek widocznych wsporników.

– Bez względu na to, jak często tu przychodzę, ten widok zawsze zapiera mi dech w piersi. Ostatni raz byłam tu z grupą studentów architektury. Tak przy okazji, to jeden z warunków wynajmu. Co sześć miesięcy trzeba udostępniać dom dla zwiedzających. Ale oni zawsze zachowują się z dużym szacunkiem. To nie banda turystów, którzy wdeptują gumy do żucia w dywany.

– Kto tu teraz mieszka?

– Nikt. Od blisko roku dom stoi pusty.

Spoglądam w stronę sąsiedniego pokoju, o ile słowo „pokój” jest właściwym określeniem na otwartą przestrzeń, która nie ma nawet otworu drzwiowego, a co dopiero samych drzwi. Na długim kamiennym stole stoi wazon z tulipanami, których krwistoczerwone płatki odcinają się drastycznie od wszechobecnego jasnego kamienia.

– To skąd się wzięły te kwiaty? – Podchodzę do stołu i dotykam blatu. Ani śladu kurzu. – I kto utrzymuje dom w takiej czystości?

– Co tydzień przychodzi sprzątaczką ze specjalnie w tym celu wynajętej firmy. To zresztą kolejny warunek. Nie można zrezygnować z jej usług. Firma zajmuje się też ogrodem.

Podchodzę do okna sięgającego aż do samej podłogi. „Ogród” to chyba za dużo powiedziane. Tak naprawdę to raczej zamknięte podwórko o wymiarach mniej więcej cztery metry na sześć metrów, wyłożone płytami z takiego samego kamienia jak podłoga, na której stoję. Pod przeciwnym murem widać mały, podłużny prostokąt trawy tak krótkiej i precyzyjnie przyciętej jak na polu golfowym. Nie rosną tam jednak żadne kwiaty. Zresztą poza tym małym skrawkiem zieleni nie ma tam nic żywego, żadnego kolorowego detalu. Tylko kilka małych kręgów szarego żwiru.

Odwracam się od okna z myślą, że całemu temu miejscu przydałoby się po prostu trochę kolorów i odrobinę ciepła. Trochę dywanów, kilka bardziej osobistych akcentów i dom wyglądałby naprawdę pięknie, niczym z magazynów wnętrzarskich. Po raz pierwszy od dawna czuję lekki dreszcz ekscytacji. Czyżby wreszcie los się do mnie uśmiechnął?

– Cóż, takie rozwiązanie wydaje mi się całkiem sensowne – mówię. – To wszystko?

Camilla uśmiecha się niepewnie.

– Gdy wspominałam, że to jeden z warunków, miałam na myśli, że to jeden z bardziej zrozumiałych warunków. Wiesz, na czym polega klauzula restrykcyjna?

Kręcę przecząco głową.

– To zbiór wymogów prawnych przypisanych do danej nieruchomości na jej wieczyste użytkowanie. To znaczy, że nie można ich znieść nawet w przypadku sprzedaży domu. Zazwyczaj dotyczą one celu użytkowania, na przykład tego, czy w budynku można prowadzić działalność gospodarczą, takich rzeczy. W przypadku tego domu warunki są zawarte w umowie najmu, ale ponieważ należą do klauzuli restrykcyjnej, nie można ich negocjować ani zmieniać. To wyjątkowo rygorystyczna umowa.

– Czego dokładnie dotyczą te warunki?

– To w zasadzie lista nakazów i zakazów. Głównie zakazów. Nie można dokonywać w domu żadnych przeróbek bez wcześniejszego uzgodnienia ich z właścicielem. Żadnych dywanów ani chodników. Żadnych obrazów. Żadnych roślin doniczkowych. Żadnych ozdób ani książek...

– Żadnych książek? To jakiś absurd!

– Nie wolno niczego sadzić w ogrodzie ani wieszać zasłon w oknach...

– Jak mam zasłonić się przed światłem, skoro nie mogę powiesić zasłon?

– Szyby w oknach są światłoczułe. W razie potrzeby same się przyciemniają.

– A więc żadnych zasłon. Coś jeszcze?

– O tak – odpowiada Camilla, ignorując mój sarkastyczny ton. – W sumie jest około dwustu warunków. Ale największe problemy sprawia ostatni z nich.

PRZEDTEM: **EMMA**

- ... Żadnych dodatkowych świateł poza tymi, które są zainstalowane - wylicza agent. - Żadnych sznurów do bielizny. Żadnych koszy na śmieci. Żadnych papierosów. Żadnych podkładek pod szklanki ani mat na stole. Żadnych poduszek, bibelotów ani mebli do samodzielnego montażu...

- To chore - stwierdza Si. - Jakim prawem może nam tego zabronić?

Zmontowanie mebli z Ikei w naszym obecnym mieszkaniu zajęło mu kilka tygodni, w związku z czym traktuje je z wyraźną dumą, jakby własnoręcznie je skonstruował, a nawet ściął drzewa, z których zostały zrobione.

- Uprzedzałem, że niełatwo będzie spełnić wszystkie warunki - rzuca agent, wzruszając ramionami.

- Skoro mowa o światłach - pytam, patrząc na sufit - to jak się je włącza?

- Nie włącza się - odpowiada agent. - Uruchamiają je ultradźwiękowe czujniki ruchu. Do tego dochodzi detektor, który dopasowuje natężenie oświetlenia do ilości światła na zewnątrz. To ta sama technologia, która w samochodach odpowiada za uruchamianie nocą reflektorów. Następnie wystarczy tylko wybrać za pomocą aplikacji tryb,

jaki nam odpowiada: wydajny, relaksacyjny, do zabawy i tak dalej. Zimą oświetlenie emituje dodatkowe promienie UV, aby zapobiec objawom depresji. Działa to na podobnej zasadzie jak lampy antydepresyjne.

Widzę, że Simon jest pod tak ogromnym wrażeniem tego wszystkiego, że zakaz wstawiania mebli z Ikei nagle przestaje być dla niego problemem.

– Ogrzewanie oczywiście podłogowe – kontynuuje agent, wyczuwając, że jest na fali. – Energia cieplna pochodzi z odwiertu znajdującego się dokładnie pod domem. A we wszystkich oknach są trójwarstwowe szyby. Ten dom jest tak wydajny, że oddaje część wyprodukowanej energii do krajowej sieci energetycznej. Już nigdy więcej nie będziecie musieli płacić rachunku za ogrzewanie.

Zupełnie, jakby ktoś streszczał Simonowi film porno.

– A co z kwestiami bezpieczeństwa? – pytam ostro.

– Wszystkie zabezpieczenia stanowią jeden zintegrowany system – wyjaśnia agent. – Nie widać tego, ale na zewnętrznych ścianach jest zainstalowany alarm przeciw włamaniowy. We wszystkich pokojach są umieszczone czujniki, te same, które odpowiadają za uruchamianie świateł. W dodatku ten system jest inteligentny. Sam uczy się tego, kim jesteście i jak wygląda wasz zwykły plan dnia, a w przypadku pojawienia się innej osoby kontaktuje się z wami, by się upewnić, czy może ona tu przebywać.

– Em! – woła mnie Simon. – Po prostu musisz zobaczyć kuchnię.

Simon spaceruje po znajdującym się z boku pomieszczeniu z kamiennym stołem. Zupełnie nie wiem, jak wpadł na to, że to jest kuchnia. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnie się kamienna lada. Na jej końcu znajduje się coś, co wygląda mi na kran: wystająca nad kamienną powierzchnią wąska stalowa rurka. Niewielkie wgłębienie pod nią

sugeruje, że może to być zlew. Na przeciwległym końcu lady widać rząd czterech małych otworów. Agent macha ręką nad jednym z nich i z wnętrza otworu natychmiast wybucha gwałtowny syczący płomień.

– Tadam! – woła agent. – Oto kuchenka. A właściciel woli określenie „refektarz” niż „kuchnia”. – Uśmiecha się szeroko, jakby chciał podkreślić, że zdaje sobie sprawę, jakie to idiotyczne.

Teraz, gdy przyglądam się uważniej, dostrzegam, że pomiędzy niektórymi panelami ściennymi biegną niewielkie rowki. Naciskam jeden z nich i kamienna płyta otwiera się z delikatnym pneumatycznym syknięciem. Za nią znajduje się bardzo mała szafka kuchenna.

– Pokażę wam teraz górę – mówi agent.

Schody to wbudowane w ścianę i niczym nieograniczone kamienne stopnie.

– Oczywiście nie jest to zbyt bezpieczne miejsce dla dzieci – stwierdza, prowadząc nas na górę. – Lepiej uważajcie.

– Niech zgadnę – mówi Simon. – Poręczce i bramki ochronne na schody też są na liście rzeczy zakazanych?

– No i zwierzęta – dodaje.

Sypialnia wygląda tak samo ascetycznie jak reszta domu. Łóżko – a w zasadzie cokół z jasnego kamienia ze zwiniętym materacem typu futon – jest wbudowane w ścianę, a łazienka wcale nie jest zamknięta, lecz jedynie ukryta za kolejną ścianą. Jednak podczas gdy pustkę panującą na dole można odebrać jako chłodną i przytłaczającą, piętro wydaje się zaciszne, wręcz przytulne.

– To miejsce przypomina luksusową celę więzienną – komentuje Simon.

– Jak już mówiłem, ten dom nie każdemu przypada do gustu – odpowiada agent. – To oferta dla szczególnego typu klienta...

Simon naciska ścianę przy łóżku i otwiera się kolejny panel. Za nim kryje się szafa. Starczy w niej miejsca ledwie na kilkanaście sztuk ubrań.

– Według jednej z reguł nic nigdy nie może leżeć na podłodze – śpieszy z wyjaśnieniem agent. – Wszystko należy odłożyć na miejsce.

– Skąd ten ktoś będzie wiedział, gdzie leżą nasze ubrania? – Simon marszczy brwi.

– W umowie zapisana jest zgoda na regularne inspekcje. Poza tym, jeśli któraś z zasad zostanie złamana, sprzątaczką musi poinformować o tym firmę administrującą budynkiem.

– Bez jaj – mówi Simon. – Jakbym znowu znalazł się w szkole. Nikt mi nie będzie mówił, czy mam zbierać z podłogi swoje brudne koszule czy nie.

Nagle zdaję sobie sprawę, że od kiedy weszłam do tego domu, nie miałam ani jednego ataku paniki i ani razu nie myślałam o tym, co mi się przydarzyło. Wnętrze jest do tego stopnia odcięte od zewnętrznego świata, tak odizolowane, że czuję się w nim całkowicie bezpieczna. Przypomina mi się cytat z mojego ulubionego filmu: „Tam od razu się uspokajam, to takie ciche i dostojne miejsce. U Tiffany’ego nic ci nie grozi”*

– Mieszkanie jest niesamowite – ciągnie Simon. – I gdyby nie te wszystkie warunki, pewnie bylibyśmy nim zainteresowani. Ale straszni z nas bałaganiarze. Sypialnia po stronie Em wygląda jak po wybuchu bomby w sklepie odzieżowym French Connection.

– Cóż, w takim razie... – Agent kiwa głową.

– Podoba mi się tu – wchodzę mu w słowo.

* T. Capote, *Śniadanie u Tiffany’ego*, tłum. R. Śmietana, Kraków 2004, s. 33 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

- Naprawdę? - Simon wygląda na zaskoczonego.

- Jest tu inaczej, ale... wydaje się, że to ma sens, prawda? Jeśli ktoś buduje tak niesamowity dom, to chyba zrozumiałe, że chce, aby jego mieszkańcy przestrzegali pewnych reguł i by korzystali z niego zgodnie z jego przeznaczeniem. W przeciwnym razie po co byłoby projektować coś takiego? Zresztą dom jest fantastyczny. Nigdy nie widziałam niczego podobnego, nawet w czasopiśmie. Chyba możemy zadbać o porządek, jeśli taka jest cena zamieszkania tutaj, prawda?

- Cóż... tak - mówi niepewnie Simon.

- Tobie też się tu podoba? - pytam.

- Jeśli tylko tobie się podoba, to mnie też.

- Ale czy naprawdę ci się tu podoba? To będzie dla nas ogromna zmiana. Nie chcę, żebyśmy się w to pakowali, jeśli naprawdę nie zależy ci na tym miejscu.

Agent przysłuchuje się naszej dyskusji z rosnącym rozbawieniem. Ale z nami zawsze tak jest. Najpierw ja rzuć jakiś pomysł, potem Simon się nad nim zastanawia, ale ostatecznie i tak się zgadza.

- Masz rację, Em - mówi powoli. - To miejsce jest o wiele lepsze od każdego innego, na jakie będzie nas stać. A skoro chcemy zacząć wszystko od nowa, to chyba lepiej zrobić to w całkiem nowym otoczeniu, niż przeprowadzać się do kolejnego standardowego mieszkania z jedną sypialnią, tak czy nie?

Odwraca się do agenta.

- Więc jaki jest kolejny krok? - pyta.

- Ach - wzdycha agent. - I tu właśnie zaczynają się schody.

TERAZ: JANE

– Przepraszam, jaki jest ostateczny warunek?

– Zdziwiłabyś się, ilu ludzi chce tutaj mieszkać, pomimo tych wszystkich ograniczeń. Ale ostatnia przeszkoda jest taka, że architekt ma prawo weta. W praktyce oznacza to, że musi sam zaakceptować nowego lokatora.

– Znaczy się... osobiście?

– Jeśli w ogóle dotrzesz do tego etapu. – Camilla kiwa głową. – Najpierw trzeba wypełnić długi formularz zgłoszeniowy. I oczywiście musisz podpisać oświadczenie, że zapoznałaś się ze wszystkimi regułami i że je rozumiesz. Jeśli przejdziesz pomyślnie ten etap, zostaniesz zaproszona na rozmowę z właścicielem bez względu na to, w jakim zakątku świata akurat przebywa. W ostatnich kilku latach była to Japonia, budował drapacz chmur w Tokio. Ale teraz wrócił do Londynu. Zazwyczaj jednak nie zaszczycą nikogo rozmową. Dostajemy od niego tylko e-mail z informacją, że podanie zostało odrzucone. Bez słowa wyjaśnienia.

– A podania jakiego rodzaju ludzi zyskują akceptację? Camilla wzrusza ramionami.

– Nawet u nas w biurze nikt nie potrafi dostrzec wyraźnego schematu. Chociaż zauważyliśmy, że studenci architektury nie mają najmniejszego szans. A już z pewnością

nie trzeba wcześniej mieszkać w podobnym miejscu. Powiedziałabym nawet, że to mogłoby działać na twoją niekorzyść. Poza tym wiem nie więcej niż ty.

Rozglądam się dookoła. Zastanawiam się, na jakim lokatorze by mi zależało, gdybym sama wybudowała ten dom. W jaki sposób tylko na podstawie podania wybrałabym konkretną osobę?

– Uczciwość – mówię cicho.

– Słucham? – Camilla przygląda mi się zdziwiona.

– Chodzi o to, że ten dom nie tylko wygląda ładnie. Przede wszystkim widać po nim, jakiego wymagał zaangażowania. To znaczy jest bezkompromisowy, pod pewnymi względami nawet nieco okrutny. Ale widać, że to dzieło kogoś, kto włożył wszystko, całą swoją pasję, w stworzenie czegoś, co wygląda w stu procentach tak, jak sobie to zamierzył. Może to zabrzmie pretensjonalnie, ale ten dom ma w sobie jakąś uczciwość. I wydaje mi się, że właściciel szuka ludzi, którzy są gotowi tak samo uczciwie traktować zasady życia w tym domu.

Camilla znów wzrusza ramionami.

– Może masz rację. – Ton jej głosu sugeruje, że w to wątpi. – To jak, chcesz spróbować?

Z natury należę do ostrożnych osób. Rzadko podejmuję decyzje bez zastanowienia, zwykle rozważam różne możliwości, staram się przewidzieć konsekwencje, analizuję wszystkie za i przeciw. Sama więc jestem nieco zaskoczona, gdy mówię:

– Tak. Zdecydowanie.

– Dobrze. – Camilla wcale nie wygląda na zdziwioną. W końcu kto nie chciałby zamieszkać w takim domu jak ten? – Wróćmy zatem do biura. Znajdę dla ciebie wszystkie potrzebne dokumenty aplikacyjne.

PRZEDTEM: **EMMA**

1. *Zrób listę wszystkich rzeczy, które uważasz za niezbędne w swoim życiu.*

Podnoszę długopis, po czym znów go odkładam. Sporządzenie listy wszystkich rzeczy, które chcę ze sobą zabrać, zajmie mi całą noc. Ale zastanawiam się nad tym chwilę dłużej i mój wzrok przykuwa słowo „niezbędne”. Co tak naprawdę jest niezbędne? Moje ubrania? Od włamania chodzę prawie cały czas w dwóch parach dżinsów na zmianę i starym powyciąganym swetrze. Oczywiście chciałabym wziąć ze sobą trochę sukienek i spódnic, kilka ładnych żakietów, trochę butów. Nic więcej poza tym, za czym bym szczególnie tęskniła. Nasze zdjęcia? Wszystkie są zarchiwizowane w postaci cyfrowej. Kilka w miarę przyzwoitych sztuk biżuterii ukradli mi włamywacze. Meble? Nie mamy nic takiego, co w domu przy Folgate Street 1 nie prezentowałoby się tandetnie i nie było zupełnie nie na miejscu.

Dociera do mnie, że to pytanie zostało sformułowane w ten sposób celowo. Gdyby kazano mi zrobić listę rzeczy, bez których mogłabym się obejść, nigdy nie dałabym rady jej przygotować. Ale kiedy w mojej głowie zasiano myśl, że nic z tego, co mam, wcale nie jest ważne, zaczynam

się zastanawiać, czy nie mogłabym po prostu pozbyć się wszystkich swoich rzeczy niczym starej skóry.

Może właśnie na tym polega prawdziwy cel „Reguł”, jak już zdążyliśmy je nazwać. Może wcale nie chodzi o to, że architekt jest uwielbiającym kontrolować wszystkich świrem, który nie lubi, gdy ktoś bałagani w jego ślicznym domu. Może to jakiś rodzaj eksperymentu. Eksperymentu z życia.

W takim razie ja i Si bylibyśmy jego królikami doświadczalnymi. Ale szczerze mówiąc, nie przeszkadza mi to. Szczerze mówiąc, chcę zmienić to, kim jestem – kim jesteście – a wiem, że nie zdołam tego zrobić bez odrobiny pomocy.

Zwłaszcza zmienić tego, kim jesteście my.

Jestem razem z Simonem od czternastu miesięcy, od wesela Saula i Amandy. Znałam ich oboje z pracy, ale byli ode mnie trochę starsi i poza nimi nie kojarzyłam tam zbyt wielu osób. Simon tymczasem był drużbą Saula, wesele okazało się piękne i romantyczne, a między nami dwojgiem od razu coś zaiskrzyło. Od wspólnego picia i rozmowy przeszliśmy do fazy wolnych tańców, a w końcu wymieniliśmy się numerami telefonów. A potem odkryliśmy, że obydwójce nocujemy w tym samym pensjonacie, i tak od słowa do słowa... Na drugi dzień pomyślałam sobie: „Co ja najlepszego zrobiłam?”. Uznałam to za kolejną jednorazową przygodę i postanowiłam już nigdy więcej się z nim nie spotkać, a w ogóle czułam się jak skończona szmata. Ale stało się zupełnie inaczej, niż zakładałam. Si zadzwonił do mnie zaraz po powrocie do domu, a potem znów kolejnego dnia i pod koniec tygodnia byliśmy już parą, zresztą ku wielkiemu zdumieniu naszych przyjaciół. A zwłaszcza jego przyjaciół. Si pracuje w imprezowym środowisku pełnym macho, w którym

posiadanie dziewczyny na stałe jest uważane niemal za skazę na męskim honorze. W czasopiśmie, do którego pisze Si, dziewczyny są nazywane „laseczkami”, „towarami” albo „ślicznotkami”. A kolejne strony wypełniają zdjęcia modelek ubranych tylko w majtki i biustonosze, choć artykuły dotyczą głównie gadżetów i nowych technologii. Jeśli, dajmy na to, pojawia się recenzja telefonu komórkowego, to ilustruje ją zdjęcie telefonu trzymanego przez dziewczynę w samej bieliźnie. Jeśli tekst dotyczy laptopów, to modelka na zdjęciu w dalszym ciągu ma na sobie jedynie bieliznę, do tego okulary i stuka w klawiaturę. Jeśli zaś tematem artykułu jest bielizna, to modelka prezentuje się całkiem nago, a majtki trzyma w ręce, jakby właśnie je zdjęła. Za każdym razem gdy redakcja urządza imprezę, modelki zjawiają się na niej w takich mniej więcej strojach, jakie miały na zdjęciach w czasopiśmie, a fotki z balangi zazwyczaj trafiają do najnowszego numeru. To w żadnym razie nie są moje klimaty i jak oznajmił mi Simon na samym początku znajomości, jego też nie. Między innymi dlatego mnie polubił, że – jak powiedział – w niczym nie przypominałam mu wszystkich tych dziewczyn, ponieważ byłam „prawdziwa”.

Kiedy poznajesz kogoś na weselu, początek waszego związku nabiera ogromnego przyśpieszenia. W ciągu pierwszych kilku tygodni, od kiedy zaczęliśmy się umawiać, Simon poprosił mnie, żebym się do niego wprowadziła. To też było zaskakujące dla wielu osób – zazwyczaj to dziewczyna naciska w tej kwestii na faceta, ponieważ albo chce wyjść za niego za mąż, albo po prostu przenieść związek na nowy poziom. My jednak zawsze wszystko robimy na odwrót. Może dzieje się tak dlatego, że Simon jest ode mnie nieco starszy. Stale powtarza, że gdy tylko mnie zobaczył, wiedział, że jestem tą jedyną. Spodobało mi się

w nim to, że wiedział, czego chce, a chciał właśnie mnie. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, by spytać samą siebie, czy chcę tego samego co on i czy Simon znaczy dla mnie tyle samo, ile ja dla niego. Tymczasem ostatnio, po włamaniu oraz postanowieniu o wyprowadzce z jego starego mieszkania i znalezieniu razem czegoś nowego, zaczęłam zdawać sobie sprawę, że najwyższy czas, abym w końcu podjęła jakąś decyzję. Życie jest zbyt krótkie, by spędzić je w związku z niewłaściwą osobą.

O ile Si rzeczywiście jest niewłaściwą osobą.

Rozmyślałam nad tym dłuższą chwilę, nieświadomie gryząc końcówkę długopisu, aż w ustach mam pełno ostrych plastikowych wiórow. Wiem, to zły nawyk, podobnie jak obgryzanie paznokci. Może uda mi się skończyć i z jednym, i z drugim, gdy zamieszkałam przy Folgate Street 1. Może ten dom uczyni mnie lepszym człowiekiem. Może zaprowadzi porządek i dyscyplinę w moim pogrążonym w chaosie życiu. I wreszcie stanę się osobą, która wyznacza sobie cele, tworzy listy rzeczy do zrobienia i potrafi doprowadzić wszystko do końca.

Wracam do formularza. Zamierzam odpowiedzieć na to pytanie najkrócej, jak tylko się da, żeby udowodnić właścicielowi domu, że rozumiem, o co mu chodzi i co próbuje w ten sposób osiągnąć.

I nagle zdaję sobie sprawę, jak powinna brzmieć moja odpowiedź.

Przeznaczone na nią pole zostawiam kompletnie puste. Tak doskonale puste jak wnętrze domu przy Folgate Street 1.

Później pokazuję formularz Simonowi i wyjaśniam, dlaczego tak zrobiłam.

- Ale co z moimi rzeczami, Em? Co z Kolekcją?

„Kolekcja” to szumne określenie zbieraniny rozmaitych pamiątek z NASA, które Simon skrupulatnie gromadził przez lata i trzymał głównie w pudłach pod łóżkiem.

– Może oddamy ją na przechowanie do magazynu – proponuję, na poły rozbawiona tym, że naprawdę dyskutujemy, czy kilka kupionych na eBayu rupieci z podpisami Buzza Aldrina i Jacka Schmitta powstrzyma nas przed zamieszkaniem w najbardziej niewiarygodnym domu, jaki widzieliśmy, na poły zaś oburzona, że Simon autentycznie uważa, że jego astronauta są ważniejsi od tego, co mi się przydarzyło. – Zawsze powtarzałeś, że chcesz znaleźć dla Kolekcji jakieś odpowiednie miejsce.

– Boks w jakimś magazynie to nie do końca to, o co mi chodziło, kochanie – odpowiada.

– Si, ale to tylko rzeczy – przekonuję go. – A rzeczy tak naprawdę nie mają znaczenia, prawda?

Wyczuwam, że w powietrzu wisi nowa awantura, powoli ogarnia mnie dobrze mi znana wściekłość. „Po raz kolejny – mam ochotę wykrzyknąć – dajesz mi do zrozumienia, że zamierzasz w końcu coś zrobić, a gdy przychodzi co do czego, próbujesz wycofać się rakiem!”

Oczywiście nie mówię tego. Taki wybuch gniewu nie jest w moim stylu.

Carol, terapeutka, do której chodzę od czasu włamania, twierdzi, że gniew to dobry znak. Oznacza, że jestem niezłomna czy coś w tym stylu. Niestety mój gniew jest nakierowany wyłącznie na Simona. Rzekomo to też normalne. Ci, którzy są nam najbliżsi, odczuwają go najmocniej.

– Dobra, dobra – mówi szybko Simon. – Kolekcja trafi do magazynu. Ale mogą być jeszcze inne rzeczy...

Zamierzam jednak strzec tej cudownie pustej przestrzeni, jaką pozostawiłam w miejscu na odpowiedź.

- Zostawmy wszystko – rzucam ze zniecierpliwieniem w głosie. – Zacznijmy od nowa. Wyobraźmy sobie, że lecimy na wakacje i linie lotnicze żądają jakichś kosmicznych dopłat za bagaż, dobrze?

- Dobrze – odpowiada Simon.

Ale czuję, że mówi to tylko po to, żebym nie wpadła w szał. Podchodzi do zlewu i ostentacyjnie zaczyna zmywać brudne kubki i talerze, które tam naskładałam. Wiem, że jego zdaniem nie jestem do tego zdolna, że brakuje mi dyscypliny, by żyć w uporządkowany sposób. Ciągłe slysę, że wytwarzam wokół siebie chaos. Przesadzam w jedną lub w drugą stronę. Ale właśnie dlatego chcę to zrobić. Chcę wymyślić siebie na nowo. A to, że towarzyszy mi w tym ktoś, kto uważa, że mnie zna i że się do tego nie nadaje, potwornie mnie wkurza.

- Poza tym wydaje mi się, że będę tam wreszcie mogła pisać – dodaję. – W takim spokojnym otoczeniu. Od dawna zachęcałeś mnie do napisania książki.

Simon mruczy coś bez przekonania.

- Albo zacznę prowadzić blog – mówię.

Rozważam ten pomysł pod każdym możliwym kątem. Blog to byłoby naprawdę coś fajnego. Mogłabym go nazwać *Minimalistyczna ja* albo *Moja minimalistyczna podróż*. Albo jeszcze prościej: *Mini Miss*.

Na myśl o tym ogarnia mnie lekka ekscytacja. Zastanawiam się, ilu czytelników mógłby mieć blog o minimalistycznym trybie życia. Może nawet zyskam jakichś reklamodawców, rzucę normalną pracę, a na podstawie bloga napiszę bestsellerowy poradnik. Emma Matthews, *Księżniczka z Krainy Nic*.

- Chcesz więc zlikwidować pozostałe blogi, które ci założyłem? – pyta Simon, wyraźnie dając mi do zrozumienia, że według niego nie traktuję tego poważnie. To prawda,

że *Londyńska dziewczyna* zyskała tylko osiemdziesięciu czterech czytelników, a *Chick Lit Chick* zaledwie osiemnastu, ale tak naprawdę nigdy nie miałam czasu, by pisać więcej tekstów na te blogi.

Przewracam kolejną stronę formularza. Dopiero pierwsze pytanie, a my już się kłócimy. Zostały jeszcze tylko trzydzieści cztery.

THRILLER ROKU W STANACH ZJEDNOCZONYCH
I WIELKIEJ BRYTANII

IDEALNE MIESZKANIE

WYMARZONA LOKATORKA

DOSKONAŁA ZBRODNIA

E-book dostępny na

woblink.com

ISBN 978-83-7515-078-0



9 788375 150780

Cena detal. 36,90 zł